

Regionalizm dla regionalistów

Obłożona materiałami usiadłam, żeby napisać tekst o regionalizmie, ale ponieważ niezbadane są wyroki komputerowej klawiatury, wyszedł mi z tego niby-felietonik o regionalistach. Działających w licznych stowarzyszeniach, współpracujących ze sobą, konkurujących, kłócących się czasem i podgryzających, kto ważniejszy. Chcących, żeby ich cenić i docenić, skoro robią tyle dobrego dla swego regionu. „A dla siebie nie?” – spytają złośliwcy.

Kiedy nasi młodzi narodowcy skandowali hasło „Polska dla Polaków”, ich równie młodzi lewicujący przeciwnicy wypisywali na murach „Ziemia dla ziemniaków”, a przy okazji „Księżyc dla księży”. Mnie korci, żeby nabazgrać na lubuskim murze „Regionalizm dla regionalistów”. Bo przy całym szacunku należnym ludziom zaangażowanym w krzewienie miłości do swoich małych ojczyzn, w uparte grzebanie w przeszłości i terażniejszości każdego lubuskiego kątką i zakątka, nie można nie dostrzeżać, że działalność wszelkiej maści regionalistów ma tylko niszowy charakter. Choć bywa cenna i rozwijająca umysł, nie obchodzi aż tak wielu osób, jak się niektórym regionalistom wydaje. Kisi się trochę we własnym regionalnym sosie i przynależy głównie ludziom w wieku mocno podyskotekowym, pozostałych obchodząc tyle, co zeszłoroczny śnieg. Ilu Lubuszan na tyśnię potrafi wymieniwać nazwę jakiegokolwiek lubuskiego regionalnego towarzystwa, że już o znajomości jego dokonań czy choćby nazwisku prezesa nie wspomnę? Nie sądzę, by była to liczba powalająca z nóg. Bo regionalizm, jakby to źle nie brzmiało, jest głównie dla regionalistów.

Jako element napływowy, który do Zielonej Góry zjechał stosunkowo niedawno, oswajałam się dobrych parę lat z lubuską regionalną specyfiką, przy okazji poznając (choćby z racji zawodu) niektórych działaczy regionalnych stowarzyszeń, ludzi różnego formatu intelektualnego i... charakterologicznego. Zapaleńców wiecznie młodych duchem, choć z siwą głową, pasjonatów jednej lokalnej idei, ale czasem też zwykłych dziwaków czy niespełnionych frustratów, odreagowujących swoje wcześniejsze ambicjonalne urazy w prezesowaniu temu czy owemu regionalnemu ciału. Stworzonemu przez siebie dla siebie.

Według *Słownika wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych* Władysława Kopalińskiego, regionalizm to dążenie do ożywienia życia kulturalnego i naukowego poszczególnych dzielnic kraju przy zachowaniu ich odrębności kulturowych. Nie może więc dziwić, że regionalizm ma w sobie wybuchową mieszankę silnej miłości do tego, co w małej lokalnej ojczyźnie i równie silnych kompleksów wszelakich. Niekoniecznie musi chodzić o kompleks niższości wobec większych braci z większych regionów. Kompleks wyższości w niewielkim regionie też potrafi o sobie dać znać.

Regionaliści z regionalnych stowarzyszeń, jak wszyscy pasjonaci, z reguły nie dostrzegają, iż to, co interesujące dla nich, niekoniecznie musi być interesujące dla ogółu regionalnych współziomków. Wierzą, że wypełniają ważną dziejową misję dla lokalnej społeczności, nie zauważając zwykle, że ta społeczność w swej masie wcale nie oczekuje na ich

pełne poświęcenia działania. W tym więc sensie regionaliści w dużym stopniu działają sami dla siebie, czyli we własnym, osobistym, całkiem prywatnym interesie (nie chodzi tu oczywiście o interes materialny). Zaspokajają i rozwijają swoje zainteresowania, podbudowują własne ego, podnosząc w swoich oczach poczucie własnej wartości. Dzieje się to wszystko w ramach wspomnianej niszy i bardziej lub mniej wonnego niszowego sosu. Bywa, że z dorobku niektórych regionalistów korzystają naukowcy, z reguły ci z miejscowych regionalnych uczelni, a więc też znajdujący się w intelektualnej regionalnej niszy. I tak to się kręci. Ku zadowoleniu ogółu lokalnej społeczności? Nie, bo ogół zwykle o tym wszystkim nie wie, więc jest mu to kompletnie obojętne. Ogół ma całkiem inne zainteresowania i codzienne kłopoty niż ustalanie istoty lubuskości, jej historycznych zawirowań, sposobów rozumienia tego słowa dziś i przed laty, interpretacji jakiejś lokalnej idei, nie musi go rajcować poznawanie dziejów lokalnego cmentarzyka, zabytkowej dębowej alei, siedliska bobrów nad konkretnym jeziorkiem, losów pięknej córki XIX-wiecznego niemieckiego właściciela zrujnowanego pałacyku, literackiego lokalnego znaleziska i czego tam jeszcze.

To wszystko prawda, ale nie do końca. Bo wprawdzie dokonania poszczególnych regionalistów większości Lubuszan ani ziębią, ani grzeją, to jednak nie można powiedzieć, że pewnego rodzaju poczucie regionalnej przynależności jest w życiu mieszkańców tego województwa całkiem nieobecne. Nawet jeśli na pytanie: czy czują się Lubuszanami?, ramionami tylko wzruszą, to w konkretnych sytuacjach specyfiki

i interesów swoich małych ojczyzn będą bronić, nadal nie interesując się ustalaniem istoty lubuskości, sposobami rozumienia tego słowa, dziejami lokalnego cmentarzyka czy losami córki XIX-wiecznego niemieckiego właściciela zrujnowanego pałacyku. Będą serio lub z przymrużeniem oka mówić o gorzowsko-zielonogórskich animozjach, opowiadać o wojnach kibiców Falubazu i Stali, czy nie tak dawnej walce o to, żeby na zmienianych akurat tablicach rejestracyjnych aut nie było literki „G” jak Gorzów (co akurat gorzowianom by nie przeszkadzało, lecz falubazom i owszem), ale neutralne „F” jak „nie wiadomo co”. Niektórzy będą też pisać listy protestacyjne do telewizyjnych stacji w sprawie braku na mapach pogodowych jednej lub drugiej lubuskiej stolicy. Dla tych spoza lubuskiego regionu musi to wszystko wyglądać dość komicznie. Oni serio traktują przecież tylko swoje własne regionalne animozje i uprzedzenia. Na te z innej części kraju patrzą z wyższością.

I dzieje się to wszystko w czasach, gdy świat stał się globalną wioską, bo Ziemia skurczyła się na niespotykaną dotąd w jej historii skalę. W tych okolicznościach przyrody i powszechnej globalizacji regionaliści z lokalnych stowarzyszeń, i ci nie stowarzyszeni, stali się cennymi, ale jednak dziwakami, którzy zamiast ogarniać umysłem problemy kontynentów, wolą grzebać się w historii lokalnego kawałeczka swojej małej ojczyzny i kruszyć kopie o sprawy z globalnego punktu widzenia niedostrzegalne, czyli nieistniejące. Prowokując przy okazji złośliwców do wypisywania na wirtualnym murze hasła „regionalizm dla regionalistów”.

